

— Pewnie!

Po rozdaniu amunicji pociąg rusza dalej. Rozmaite przypuszczenia snują żołnierze. Mówiono im, że na ośmiotygodniowe ćwiczenia pojedą do Munkacza, tego też zdania byli wszyscy.

Rankiem dojeżdżamy do stacji kolejowej K. Stały wszystkie pociągi na stacji, pozwolono wyjść z wagonu i udać się do poczekalni. Z kilkoma kolegami przecisnąłem się do sali restauracyjnej, i zamówiłem kawę. Sala cała nabita uciekinierami. Spocząłem przy stoliku, rozglądając się wokoło. Smutny to widok patrzeć na znękanie twarze uciekinierów. Koło stołu stała jakaś starsza kobieta z niemowlęciem na ręku, koło niej dwoje dzieci. Nieśmiało rozglądała się, gdzieby można usiąść.

Wstałem z krzesła, w milczeniu wskazując jej miejsce.

— Dziękuję panu! — odezwała się.

— Pani Polka?

— Tak, proszę pana, Polka, uciekam obecnie z mężem i dziećmi z Marmaroszu Sziget. Mój mąż był zatrudniony w tartaku — beładnie poczęła opowiadać — uciekamy, bo Moskałe wpadli do miasteczka.

Za chwilę przybiegł jej mąż, wysoki, chudy mężczyzna, Węgier, jednakże dość dobrze po polsku rozmawiający. Podziękował mi za ustąpienie miejsca. Na prawo od niej siedziały przy stoliku trzy panny, także uciekinierki, które z zajęciem poczęły się przypatrywać naszemu wojsku.

Jedna z nich zwróciła się do mnie z pytaniem jakimś, jednakże wzruszyłem tylko ramionami, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

Pani, której ustąpiłem krzesła, odpowiedziała za mnie, a potem, zwracając się do mnie, tłumaczyła:

— Ta panienska pyta się, co to za wojsko. Odpowiedziałam za pana.

— Igen! Igen! — poczęły szeptać do siebie panny — Lengel.

Zaczelśmy rozmowę. Pani owa służyła nam za tłumaczkę. Były to córki kupca z Marmaroszu Sziget, które uciekały, a w drodze zgubiły się rodzicom. Zmartwione były ogromnie. Po omówieniu tych bolesnych spraw, zwróciła się do mnie, aby na pamiętkę wpisać się jej do notatnika, który poczęła z dniem ucieczki prowadzić. Wspomniała przytem, abym napisał jej pieśń naszą. Wpisałem jej „Jeszcze Polska nie zginęła“, zamasyście wycyrklowałem imię i nazwisko, pułk, batalion i datę. Podziękowała mi, poczem zebrały się, gdyż nadjeżdżał pociąg, który miał ich zawieźć do Budapesztu.

— Eljen Lengel! — skłaniając główkami na pożegnanie, wyrzekły.

— Eljen Madziaro! — odpowiedzieliśmy.

— Eljen Legiono!

— Eljen!

Wyszły pospiesznie. Konduktor począł nawoływać do wsiadania. Rozłożyłem mapę, szukam kierunku drogi, dokąd zmierzamy. Linia kolejowa prowadzi prosto do Huszt, Tárasköz, Marmaroszu Sziget. Teraz zdaje sobie jasno sprawę, dlaczego na gwałt rozdawano amunicję. Patrole kozackie bowiem za puszczają się czasem na kilkadziesiąt kilometrów od głównej siły, łatwe więc z nimi spotkanie.

Po dwóch godzinach postoju siadamy do wagonów, pociąg rusza. Żołnierze szeptaają między sobą, że prosto na linię bojową jadą. Na twarzach ich odbija się zadowolenie, z zamyśleniem czyszczą i smarują karabiny. Nocą dojeżdżamy do Huszt. Godzina piąta rano. Z okien wagonu widać miasteczko, na północnym zaś widnokręgu wyglądają pasma gór. To Karpaty, dzielące nas od Galicji. Na drugim torze przesuwa się pociąg z I. i II. batalionem naszego pułku. Wagony przystrojone kwiatami, gałązkami świerku. Na zewnątrz kredą wymalowane postacie polskich żołnierzy, przeróżne przytem napisy po polsku i węgiersku.

— Cześć! Cześć! — krzyczą na nasz widok.

— Czołem! Cześć! — odpowiadamy.

— Jedziecie pierwsi!

— Tak! Tak! — wesoło odpowiadają.

— My za wami!

Pociąg powoli rusza z nimi. Jadą w kierunku Marmaroszu Sziget. Patrzymy za znikającym pociągiem, pieśń brzmi w wagonach, roznosi ją echo po polach.

— Wysiadać! Wysiadać! — odezwały się nagle głosy kompanijnych. Po pięciogodniowym gnieceniu się w wagonach wysiadają żołnierze z zadowoleniem, że już te „kurniki“ porzucą.

— Co, my nie pojedziemy dalej? — pytają ciekawie.

— Widocznie.

Bataliony obu pułków odjechały, myśmy pozostali na stacji. Obok stacji na polance rozłożyły się kompanie, kucharkę ogień rozpalili, do gotowania śniadania się zabierają.

Z rozkazu adjutanta udałem się z sierżantami kompanijnymi do miasteczka, aby zakupić mięsa, chleba i ziemniaków.

Skrećmy z dworca kolejowego na prawo, brniemy w obrzydliwym błocie. Na ulicach pospolitacy węgierscy stoją w plutonach, przygotowując się do drogi. Pozdrawiamy się wzajem. Z sierżantami obchodzę chaty, aby zakupić potrzebne prowianty. Część domostw opustoszała, wreszcie wskazano nam chatę, gdzie gospodarz miał krowy na sprzedaż.

Wchodzimy do brudnej, ciemnej izby. Na zapadniętym łóżku siedzi dwoje dzieci, bawią się z kotem, gospodyni przy stole z załamanymi rękami. Na widok wchodzących żołnierzy zerwała się, patrząc przestraszonym wzrokiem.

— Macie krowy do sprzedania?

Odpowiada mi w narzeczu słoweńskim, że ma, tylko mąż jej przyjdzie, to sprzeda, bo ona nie wie, jak.

Posłano po gospodarza, przybiegł zadyszany. Po krótkim targu kupiliśmy od niego krowy i ziemniaki. Proponował następnie, aby zakupić od niego wszystkie kury i cały drób, bo oni rzucają swoje gospodarstwo i uciekają w głąb Węgier. Tłumaczmy mu, żeby tego nie robił, niema najmniejszej obawy, aby tutaj dostali się Moskałe.

Kobieta, na widok wyprowadzonych krów z obory, zalała się łzami.

— Oj, Boży, Boży! Cały dobytek, cały dobytek!

— Gospodarzu!

— Proszu, proszu.

— Nie wiecie, gdzie tu chleba można kupić?

— Chleba, panie?

— Tak, chleba.

Wyciąga pół bochenka kukurudzianego chleba i podaje nam.

— To dla tysiąca ludzi za mało — roześmiałem się — trzysta bochenków najmniej potrzebuje.

— Trudno będzie, panie. Trochę tylko mieszkańców zostało, reszta uciekła.

— Piekarni tu niema?

— Jest, ale nie wiem, czy mają chleb.

Oddałem mu ten kawałek chleba, on jednak koniecznie prosił, aby go wziąć. Ale jakże tu brać od biedaka, kiedy to może ostatni ich bochenek, a tu są jeszcze drobne dzieci. Po długich ceremoniach ukrajałem kawałek chleba, gdyż głód dokuczał mi dość silnie. Wyciągnąłem pugilares, chcąc mu zapłacić.

— O nie, panie! Chlebem trzeba się dzielić! Straszne teraz czasy.

— Zadarło nie chcę!

— Weźcie, weźcie! Dla nas wystarczy.

Dałem po kilka miedziaków bawiącym się dzieciom.

Wychodzimy z chaty, za przewodnikiem podążamy, który nas prowadzi do sklepu. Niestety, sklep zamknięty, zaryglowany. Prowadzi nas wejściem od podwórza, ażeby przez mieszkanie można było wejść do sklepu. I tu drzwi zastajemy silnie zamknięte. Po energicznym pukaniu odmyka wreszcie drzwi stary, trzęsący się ze strachu żyd, pytając, co chcemy?

— Sól jest?

— Niema, panie.

— Może choć trochę się znajdzie?

Prosinas do środka, przeszukuje szuflady i wyśkrobawszy z nich z pół funta, zawinął w papier.

— Niema więcej?

— Nie, ani kapki!

Dwie godziny upłynęło, zanim załatwiliśmy zakupy. Z trudem udało nam się kupić dwieście bochenków chleba, które z tryumfem przywieźliśmy do batalionu, gdzie wygłodniała wiara z radością nas przyjęła.

Pod wieczór, po kilkogodinnym odpoczynku wyruszył nasz batalion z Huszt, za nim pociąg tren, do którego zostałem przydzielony. Noc ładna, jasna, choć zimna cośkolwiek. Droga niemożliwa, kałuże błota wokoło, wśród nich trzeba manewrować. Wysunięta na czoło batalionu straż przednia co chwila wstrzymuje marsz, bacznie przeszukuje przeszkody, gdyż batalion wstępuje w teren wojenny, gdzie lada chwila ukryty wróg może zionąć karabinami maszynowymi, lub zniemacka napaść na batalion.

Opustoszałe wioski mijamy, gdzieś tam tylko okno oświetlone wskazuje, że nie wszyscy mieszkańcy puciekali przed inwazją nieprzyjacielską.

Olbrzymia równina ciągnie się przed nami, za którą góry karpaccie stanęły, jakby ogrodzeniem tej równiny były. Nad ranem przeszliśmy przez drewniany most, położony nad rzeką, dopływającą do Cisy.

— Dwugodzinny odpoczynek! — rozległy się głosy kompanijnych. Batalion wmaszerował w wioskę. Wieś duża, około pięćset budynków drewnianych, opustoszałych jednak z mieszkańców.

— Wiecie? — mówi mi komendant trenu Mroczkowski — przed tygodniem byli tu kozacy.

— No i co?

— Wpadli, zrabowali co się dało, w dodatku uprowadzili kilka kobiet w las.

— Psiekrwie!...

— Nie oszczędzali nikogo! Wieś, pomimo, że w znacznej części zamieszkała przez ludność ruską, strasznie uciepiała. Popatrzcie się po domach. Drzwi i okna powyrywane, przed domami gdzieś tam poniszczone graty. Właściciele pozostawili wszystko i puciekali. Bydło, drób jeno, którego kozacy nie zdołali wyłapać, koło domostw krąży.

— Barbarzyńcy!

— Gorzej! Dicz, istna dicz!

— Bić, bez litości bić!...

Pokazuje poniszczone chaty, powyrzucane sprzęty domowe, leżące w kałużach błota.

Gdzieś tam ślady ognisk, koło nich pierze z drobiu, rozlatujące się za podmuchem wiatru.

— E... trzeba się trochę rozgrzać — przemówił, wchodząc do chaty, przed którą kilkunastu żołnierzy stało. Poszedłem za nim. Przy wielkim kominku zgromadziło się kilku, grzejąc przy ognisku konserwy. Na kukurudzy świeżo zebranej położył się Mroczkowski, wyciągając strudzone ciało. Baba z córką, w łóżku leżąc, patrzyły na nas podejrzliwie. To żona podwójnie tejże gminy. Męża, podejrzanego o moskalofilstwo, w poprzedni wieczór aresztowano.

— Dość tu było moskalofilów — przemówił po chwili Mroczkowski.

— I co? Aresztowano ich?

— Tak, kilkunastu.

Rozkoszujemy się ciepłem, buchającym z kominka, senność nas ogarnia, z przyjemnością człowiek wyciągnąłby się i położył spać na jakie dwanaście godzin, a tu lada chwila zerwać się trzeba do dalszego marszu.

Mroczkowski wyciąga flaszkę araku i przypijając powtarza po węgiersku:

— Igen, igen, iskola, piskola! Trzeba się posilić, aby i weselej było — śmieje się.

— Pewnie, że weselej będzie — przytakuję.

Nadjechał adjutant, Jakubowski, na koniu. Stał przed chatą, żołnierzy pyta o komendanta trenu. Mroczkowski wybiegł z chaty, w wyprężonej postawie stanął przed adjutantem.

— Na południe musimy być w Dolhy. Koni nie męczyć zbyt, na fary nikomu nie wolno siadać. Marudery pójda za XII. kompanią, absolutnie na wozach nie śmie nikt być!

— Według rozkazu!

Odjeżdża adjutant w pełnym galopie. Mroczkowski, pobrzkując szabłą, rozporządzenia wydaje treniarzom, wymyślając im przytem, że adjutant „zjeżdża“ go przez nich.

— Mówiłem, psiakrew, żeby na wozy nie wsiadać! Cholery, na złość zawsze musicie zrobić! Ale wam sprawię za to cięgi, popamiętacie mnie!

Bo też to utrapienie z nimi. Jak tylko wozy ruszyły naprzód, to oni już na wozach, nie bacząc, że konie zmęczone, że droga górzysta i uciążliwa, po której ciężko jest ciągnąć naładowane amunicją wozy. A każdy z nich miał inny wykręt. To noga obtarta, to boleści jakieś, ten znów ma kartkę od lekarza i t. p.

— Czekajcie! — wymyśla im dalej — niech jeno którego złapię na wozie! Już mu żadna kartka nawet od stu lekarzy nie pomoże, ani przeróżne boleści, jako to: łamanie w kościach, w krzyżach, w mózgu.

Ale żołnierze z ufnością patrzą w zachmurzone oblicze swego władcy, bo wiedzą, że znów nie taki groźny, jak się wydaje. Pokrzyżczy, nawymyśla, ale niejednemu dobrze zrobi, byleby go tylko w humorze zastał. Lubią go żołnierze, choć czasem niejednemu skarci, poważają przełożeni, bo energia w nim wielka, spryt do wszystkiego, wymarzony komendant trenu.

Wsiadł na siwego konia, pomiędzy wozami ugania, przynagla do zaprzęgania koni do wozów. Wymyśla furmanom, krzyczy na żołnierzy, jakby podczas wielkiej jakiejś walki. Podniecona energia pracuje. Przejeżdża batalionowy, Fabrycy, z adjutantem i pomocnikiem Florkiem, uśmiecha się na widok energicznie zapracowanego Mroczkowskiego. Lubi batalionowy, aby wszystko szło ostro i dzielnie, ceni żołnierza energicznego, śmiałego. Bo też i kapitan Fabrycy, choć prędko, skory do zbieszania i w pierwszym porwywie gniewu srogo nieraz karzący żołnierza, to znów, gdy gniew przeminie, do rany go przyłoży, taka to natura polska. Wiedzą o tem żołnierze i z ufnością spoglądają na dowódcę. Również i adjutant Jakubowski, to postać szlachetna i dobra dla żołnierza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)